

GARY BRAVER

t u n e l



Książki Bravera przerażają, straszą i zmuszają cię do czytania dopóki nie dobiedziesz do ostatniego zdania. *Tunel* jest taki sam. Gary Braver to jeden z najlepszych autorów thrillerów w Ameryce.

Tess Gerritsen

Replika

GARY BRAVER
TUNEL
przeł. Agnieszka Kalus

[fragment]

Prolog

Trzy lata temu, Plymouth, Massachusetts

Karen Wells siedziała przed komputerem w izbie przyjęć szpitala Jordana, kiedy nadeszło połączenie z ambulansu. Była prawie trzecia w nocy i ratownicy medyczni wieźli niezidentyfikowanego mężczyznę około pięćdziesiątki, niemal bez oznak życia, najprawdopodobniej na skutek zatrzymania akcji serca. Zawiadomiła inne pielęgniarki, dyżurnego lekarza, doktora Briana Kennedy'ego i dwóch rezydentów. Przygotowali wolną kabinę wyposażoną w sprzęt dla pacjentów z problemami kardiologicznymi.

Mimo wszystko była to spokojna noc – kilka ofiar pomniejszych wypadków, przedawkowanie narkotyków, skręcona kostka; udzielono też pomocy starszej kobiecie z ostrą biegunką – nietypowo jak na wiosenną sobotnią noc. Nie dalej jak dwa tygodnie temu miejsce to przypominało dom wariatów z przepelnioną poczekalnią i cierpiącymi pacjentami – od niemowląt do staruszków.

Teraz w dyżurce było tak spokojnie, że aż niemal strasznie. Zatem potencjalny sercowiec będzie mógł otrzymać szybką i kompleksową pomoc.

Po upływie kilku minut od zawiadomienia dwóch sanitariuszy wpadło do izby przyjęć z nieprzytomnym mężczyzną na noszach, podłączonym do respiratora. Zawieźli go do kabiny, gdzie zespół reanimacyjny przełożył go na łóżko, zaintubował w kilka sekund i podłączył EKG do jego klatki piersiowej.

- Dalej, chłopie. Trzymaj się – krzyknął ratownik, wykonując resuscytację. Karen założyła pacjentowi opaskę ciśnieniomierza, podczas gdy inna pielęgniarka podłączyła mu kroplówkę do ramienia.

- Cholera. Wyczuwam siedemdziesiąt.

- Nie czuję pulsu - powiedziała Barbara, jedna z pielęgniarek.

EKG wskazywał rytm agonalny - powolne, nieregularne wzory, jakie można często zaobserwować, kiedy serce zamiera.

- Wracaj do mnie, chłopie! - krzyczał ratownik.

- Elektrody! - krzyknął doktor Kennedy.

W ułamku sekundy tysiące woltów wstrząsnęły klatką piersiową pacjenta. Ciało wygięło się do przodu, ale wciąż nie pojawiły się regularne uderzenia serca ani puls. Nic. Nie przestawali defibrylować, dopóki nie stało się jasne, że tym sposobem nie uda się im przywrócić aktywności serca. Doktor Kennedy wbił wówczas igłę strzykawki z adrenaliną pomiędzy trzecie a czwarte żebro pacjenta, prosto w serce. Żadnej reakcji. Kontynuowali reanimację, doktor poprosił o kolejną ampułkę z adrenaliną. Karen wbiła drugą igłę w prawą komorę serca mężczyzny i nacisnęła tłok, wstrzykując kolejną dawkę adrenaliny.

Znowu nic. Żadnych wyraźnych skoków linii na ekranie EKG. Żadnego pulsu. Zerowe ciśnienie krwi. Niewyczuwalny oddech. Temperatura ciała 28 stopni. Skóra pacjenta przybrała niebieskawoplamisty odcień martwego człowieka.

- Był taki zimny, kiedy go znaleźliście?

- Tak.

- Oddychał?

- Trudno powiedzieć. Ciśnienie siedemdziesiąt, ale nie wyczuwaliśmy pulsu, przysięgam.

- Teraz też nie ma - powiedziała Karen.

- Całą drogę nad nim pracowaliśmy.

- Gdzie go znaleźliście?

- Jakies dzieciaki zauważyły go przy drodze w pobliżu White Cliff i zadzwoniły na 911, stąd dostaliśmy wezwanie.

- Żadnych butelek po alkoholu i narkotyków w pobliżu?

- Niczego nie znaleźliśmy. Wygląda jak bezdomny.

Takie twarze widziała u wielu innych, którymi zajmowała się przez lata - wyblakłe mapy życia, które zeszło na psy - wiek około pięćdziesiątki, nieogolona twarz, plamista skóra, rozszerzone źrenice, oczy nabiegłe krwią. To oblicze, którym mogliby się wymieniać narkomani i alkoholicy. Ten miał na sobie czarne spodnie, wyglądały na stosunkowo nowe. Góra ubrania została zdjęta przez ratowników medycznych i spoczywała w torbie. Miał nieosłonięte

nagie stopy. Nie znalazła na jego przedramionach żadnych śladów po igle, ale po wewnętrznej stronie jego prawej ręki było ukłucie na żyle.

- Wygląda, jakby coś sobie wstrzykiwał.

- Albo był podłączony do kroplówki.

Nie, według Karen wyglądał jak uzależniony od heroiny. Jego skóra przypominała szary skaj i pokryta była strupami oraz zadrapaniami, jak gdyby zaofiarował swoje ciało owadom na świąteczną ucztę.

- Nie żyje - powiedział Kennedy. - Czas zgonu trzecia dwadzieścia pięć.

Kennedy wyszedł, personel odłączył mężczyznę od urządzeń. Kiedy Karen odkładała na miejsce sprzęt, przeszło jej przez myśl, jak nieczuła się stała w stosunku do zmarłych ludzi. W ciągu siedemnastu lat przepracowanych w izbie przyjęć widziała każdy możliwy rodzaj śmierci, jaki spotykał ludzi - zatrzymanie akcji serca, utopienie, przemoc domowa, uliczne strzelaniny, przedawkowanie, pchnięcie nożem, poparzenia, złamania w wyniku wypadków samochodowych - ludzi żywych, ale tak zmasakrowanych, że trzeba było sprawdzać kończyny, aby przekonać się, że reszta też należy do człowieka. Kiedy miała dwadzieścia lat trudniej jej było odseparować się od bezpośredniej bliskości śmierci, tak by postrzegać zmarłych nie jako ludzi, lecz jako ciała, łupiny, które wcześniej skrywały człowieka. Patrzyła na ofiary i myślała, że zupełnie niedawno byli żyjącymi, oddychającymi, myślącymi istotami, ożywionymi i obdarzonymi duszą czy czymkolwiek innym, co sprawiało, że żyją. A teraz byli tkanką, organami i kośćmi w trakcie rozkładu. Dla pocieszenia powtarzała sobie, że prawdziwa osoba odeszła do lepszego miejsca, gdzie jej cierpienie dobiegło kresu. Jednak nawet po siedemnastu latach pracy w izbie przyjęć odczuwała smutek, kiedy ofiara była młoda - podobnie jak ten facet, który umarł, zanim osiągnął podeszły wiek. Jeszcze gorzej, że nie wiadomo, jak się nazywa, nie mieli żadnego imienia, które można by zapisać na identyfikatorze zawieszanym na dużym palcu u nogi.

Umyła go razem z Barbarą. Jego buty oraz koszulę włożyły do torby z rzeczami osobistymi i położyły ją na jego udach. Rozłączyły elektrody, ale pozostawiły kroplówkę, przewody i sprzęt do intubacji, by można było dowieść, iż czynności, które zostały wykonane w izbie przyjęć, nie przyczyniły się do śmierci mężczyzny.

W związku z tym, że zgodnie z prawem tylko lekarz mógł stwierdzić zgon, Karen wyszła, by zajrzeć do innych pacjentów. Kiedy wróciła, doktor Kennedy

wypełnił już akt zgonu. Jako oficjalny czas śmierci została podana godzina 3.25. Karen wprowadziła dane do komputera. Później ciało zostanie przewiezione do biura lekarza sądowego – pozostanie tam, dopóki nie zostanie zidentyfikowane i poddane autopsji.

Karen przygotowała zawieszkę na palec u nogi i skierowała się do czwartej kabiny, gdzie na łóżku na kółkach leżał ich niezidentyfikowany denat. Łóżko wciąż tam stało, przewody wciąż były przyłączone do kroplówki i sprzętu medycznego, ale nie było ciała.

- Gdzie jest ten zmarły facet spod czwórki? - zawołała Karen w stronę recepcji.

- Co? - Barbara spojrzała znad dokumentu, który właśnie wypełniała.

- Ten niezidentyfikowany. Zniknął. Ktoś go gdzieś przeniósł?

- Nie. O czym ty mówisz?

Barbara pobiegła z Karen w głąb korytarza, aby znaleźć pozostałe pielęgniarki. Nikt nie ruszał mężczyzny. A doktor Kennedy powiedział, że w ogóle nie dotykał ciała. Tak samo sanitariusze.

- Kto mógłby go zabrać?

- Myślisz, że ktoś go zabrał? - spytała Barbara.

- No przecież nie poszedł o własnych siłach. Ktoś go ukradł.

Karen pobiegła do biurka recepcji w przedsionku izby przyjęć. Poczekałnia była pusta, recepcjonistka właśnie wróciła z toalety i nie zauważyła, by ktoś wywoził ciało. Karen zadzwoniła do ochrony i po chwili zjawił się strażnik.

- Zniknęło ciało - powiedziała, po czym wyjaśniła, co się stało.

- Kto, do cholery, mógłby ukraść trupa? - spytał strażnik.

- O to właśnie pytam.

Karen weszła do biura pielęgniarek, gdzie znajdował się system monitorujący. Wprowadziła godzinę 3.20 i włączyła odtwarzanie. Na obrazie widać było cały rząd kabin dla pacjentów kardiologii. O 3.27 doktor Kennedy wyszedł z kabiny czwartej. Dwie minuty później pojawiły się Barbara i Karen, by zajrzeć do pacjentów w przyległych boksach. Następnie Karen przeszła przez korytarz do dyżurki pielęgniarek w celu wprowadzenia do systemu komputerowego danych zmarłego. Nic więcej się nie działo aż do momentu, gdy cyfrowy zegar pokazał 3.43, kiedy to jakiś człowiek wyłonił się z czwartej kabiny. Okazał się nim nieznany z nazwiska denat, którego identyfikator Karen wciąż miała w kieszeni. Wciąż był nagi od pasa w górę i bosy, z elektrodami EKG na piersi. Powłóczęc

nogami szedł pustym korytarzem w kierunku wyjścia – bez pulsu, bez akcji serca, bez ciśnienia krwi, pozbawiony wszelkich życiowych funkcji ciała, ale poruszający się o własnych siłach. Karen patrzyła i ledwie powstrzymała się od krzyku.